Nr. 3. Lwów w Marcu 1901 roku. Rok II.

pismo miesięczne z obrazkami
wychodzi w trzecią niedzielę każdego miesiąca.
Redaktorka i wydawczyni:
Marja Wysłouchowa.

Prenumerata wynosi:
Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.
W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.
Adres Redakcji i Administracji: Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

Dom polski w Cieszynie.

Radzi czytujemy tu, na Śląsku, „Zorzę", jak dowodzi fakt, że w jednej tylko wiosce naszej fabrycznej, w Ustroniu, gazetka ta liczy pół setki odbiorców. Owoż przez tę życzliwość właśnie dla „Zorzy" chcielibyśmy, aby było w niej zawsze wszystko, co nas raduje i krzepi, co jest nam miłe i drogie. Dla tego też postanowiłem opisać wzniosłą i piękną uroczystość otwarcia strażnicy granicznej, czyli Domu polskiego w Cieszynie, stołecznem mieście naszej ziemi Śląskiej, której to uroczystości sam byłem świadkiem naocznym.

Myśl wybudowania Domu Polskiego powstała już w r. 1868. Ostatecznie w roku 1887 zawiązało się „Towarzystwo Domu Narodowego", które się tak skrzętnie zajęło gromadzeniem potrzebnych środków, że w ciągu lat 10 zebrano już na ten cel coś przeszło 20.000 zł. Na walnem zgromadzeniu „Tow. domu narodowego" w r. 1897 powiedziano, że już dłużej czekać nie można, ponieważ właśnie nadarzała się sposobność nabycia domu w głównym rynku. Więc też, aczkolwiek nie posiadano dostatecznych funduszów, przystąpiono wnet do dzieła. Dom ów narożny w rynku nabyło Towarzystwo, przerobiło i dnia 20. stycznia br. oddało do użytku „całemu polskiemu ludowi".

To też uroczystość wyrosła na prawdziwe święto ludowe. Z całego kraju zeszła się ludność wiejska tak licznie, jak się ani nie spodziewano. I inteligencja narodowa, której coraz więcej na Śląsku,

pośpieszyła też licznie. Nadto przybyło mnóstwo gości z najdalszych stron Galicji, Królestwa i Śląska Górnego, czyli — jak go nazywają — pruskiego.

Po dwunastej rozpoczęła się uroczystość otwarcia w wielkiej sali Domu Polskiego. Najprzód chór mieszany pod kierownictwem p. Hławiczki odśpiewał Psalm: „Panie, błogosław temu domowi“ i Boże Ojcze, twoje dzieci“, tego ostatniego hymnu wysłuchano stojąc.

Poczem zabrał głos ks. Franciszek Michejda, jako prezes „Towarzystwa domu narodowego“ i uroczyście oddał dom ów na użytek ludu polskiego i jego towarzystw. Mowca przemawiał, jak zawsze, wzniośle i porywająco, a między innemi powiedział: „I otóż stoi „Dom“ ten przed wami, kochani rodacy, nie szumny, nie paradny, ale prosty i skromny, jak lud polski pracujący tego kraju, według naszego polskiego przysłowia: „Podle stawu grobla“. Stoi i po co? Jako przytulisko, gdziebyśmy dla wytchnienia po pracy przy pogadance lub zabawie byli jak u siebie i by nasze towarzystwa narodowe nie tułały się po cudzych progach, byśmy byli na własnych śmieciach i pod własnym dachem...

DOM POLSKI W CIESZYNIE.

„Ma jednak ten Dom i głębsze jeszcze, donioślejsze znaczenie. Oto stoi on, jako twierdza dla obrony praw narodowych i tej naszej ziemi polskiej i Piastowego grodu przed obcym zalewem.

„A więc oddaję Dom ten całemu ludowi polskiemu na Śląsku, bez różnicy wyznań i politycznych przekonań. Oby wszyscy, którzy tu wchodzą, odczuli i wyznali: „Tu jest dobrze być“. Oby wszyscy, którzy tu cokolwiek by czynili, mieli na oku jedno hasło, jeden cel, *pro publico bono* — to znaczy: dla dobra narodu i ojczyzny. Szczęść Boże i pokój temu Domowi!“

Potem przemówił ks. I. Świeży, były poseł, i dziękował imieniem ludu śląskiego tegoż ludu ofiarodawcom z całej Polski i podniósł, że my, Ślązacy, najlepiej się odwdzięczymy rodakom, gdy zachowamy swój język i obyczaj narodowy i nie damy się Niemcom.

Niepodobna wyliczyć wszystkich przemówień, wspomnę więc już tylko o mowie p. Konopińskiego, redaktora „Nowej Reformy“ z Krakowa, który między innemi powiedział: „Jesteście na kresach, daleko od nas, ale wierzajcie, czem dalej przestrzenią, tem bliżsi naszym sercom za to, żeście się nie dali wyrugować z tej ziemi, aleście stanęli krzepko i wstrzymali wroga“.

Pieśniami chóru: „Straż nad Wisłą“ i „Boże coś Polskę“ — zakończono pierwszą część uroczystości.

Po przerwie zasiadło w sali do uczty przeszło 200 osób.

Było to nie tylko pokrzepienie cielesne, ale istna biesiada duchowa. Niepodobna przytaczać wszystkich przemówień i toastów. Nadmienię więc jeno, że dr. Korbacz życzył imieniem czeskich towarzystw szkolnych szczęścia Domowi polskiemu, a dr. Habura wzniósł kielich na cześć kobiet polskich na Śląsku.

Najbardziej jednak wzruszyła wszystkich przemowa p. Lipińskiego, robotnika-górnika z pruskiego Śląska. Słowami prostemi tak przemówił do serc, że wszystkich do łez wzruszył opisem ucisku polskiej mowy i prześladowań za przekonania ze strony Prusaków. „Z pracy nas wypędzają — mówił — za posiadanie choćby małego orzełka polskiego przy zegarku“.

Potem dziwił się, że my na naszym Śląsku taką wolność posiadamy, a gdy rzekł: „Wracam ztąd, jak do więzienia, — tak, do więzienia!“ to całe zebranie tak skruszył, że nikt z obecnych tego poprędku nie zapomni. Na odczytanie przeszło 30 telegramów zabrakło czasu, bo trzeba było salę przygotować do teatralnego przedstawienia. Najprzód oddeklamowano wspaniale wiersz, napisany na tę uroczystość przez p. Tetmajera, a także ustęp z „Bitwy Racławickiej“ — Lenartowicza. Poczem odegrali artyści teatru Krakowskiego komedję Fredry pod tytułem: „Śluby Panieńskie“, istne arcydzieło sceniczne. Na sali było co najmniej 500 osób, a mnóstwo ludzi musiało odejść dla braku miejsca i biletów.

Po przedstawieniu bawiła się młodzież ochoczo tańcami przy dźwiękach kapeli do rana.

Słowem, był to dzień, który na długo pozostanie w pamięci uczestników, dzień wygranej „bitwy kulturnej pod Cieszynem“, jak jeden z mowców trafnie się wyraził.

Siliłem się streszczać, ale przy tak wielkim materjale, wszystko się ciśnie pod pióro. Nie jedną też ważną rzecz musiałem opuścić, bo i tak „Zorza“ będzie miała chyba za dużo mego pisania.

Wasz brat od młota *J. W.*

C. Michał Krupa
Urzędnik pom. pocztowy

A... B... C...

(w streszczeniu.)

(Ciąg dalszy).

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Zza cienkiej ściany górnego piąterka domku wychodziły na zewnątrz cieniuchne głosy dziecięce, bąkające:

— A... b... c... a... b... c...

Inne, starsze nieco, prawiły:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło.

Albo:

— Pięć razy sześć trzydzieści... cztery od dziesięciu sześć i t. d.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafji. Nic mu się tak bardzo nie podobało. jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej i gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swemi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dla niego kaligraficzne wzory. Miała w tem swój cel. Chłopiec, zakreśliwszy całą stronicę, brał papier w obie ręce, szerokie swe plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie.

— Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło... Choć ubogo ale chędogo.. Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki...

W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutna. Nawet gdy szła ulicami miasta. można było spostrzedz w ruchach jej i wyrazie twarzy znaczne zmiany. Wyglądała raźniej, zdrowiej i pogodniej. Odkwitła. Zdobyczy jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości jest na tym świecie niezmiernie względne. Dla niej drobiazgi te były prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją inaczej, jak mogli. Praczka bezpłatnie prała ich bieliznę; mularz, posiadający obszerny ogród, przynosił im warzywa i owoce; mieszkający naprzeciw piekarze, w dodatku do drobnej opłaty miesięcznej przysyłali codzień małą bułkę chleba; stróż domu darmo drzewo na opał rąbał. Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła, że nawet pijak ślusarz płacić jej pragnął monetą, innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć, wracając z miasta, wchodziła na podwórze, człowiek ten, nie wiedzieć zkąd, zjawiał się także.

Gęsta czupryna i niskie ciemne czoło pochylały się przed nią, a żółte obrzękłe wargi wyciskały na jej ręku głośny, przeciągły pocałunek. Był to w gruncie rzeczy przykry pocałunek pijaka, którego ślady, bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał w jej serce.

Jak brylanty świeciły też radością jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, któremi zastąpiła tamte... drące się w kawałki.

Czuła się zadowolona ze swej pracy. Myślała, że jest ot takim sobie drobnym robaczkiem, uwijającym się, ile tylko sił starczyło, u podstaw życia. Wyżej promiennie było i świetnie. Wielcy i mądrzy ludzie dźwigali tam i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona, razem z mnóstwem podobnych sobie maluczkich istot, zbierała

w cieniu drobne cegiełki, aby dorzucić je z radością do wspólnej budowy, do wspólnej pracy całego narodu...

Często, w późne wieczory, bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe, buchały z dołu z pod podłogi w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę, w której sypiała. Dziki ten hałas unosił się wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięco czystym, cichym snem Joanny.

* * *

Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieci, nie przestała przecież zajmować się pilnie małem gospodarstwem swojem i brata. Dlatego, codziennie, raz na dzień, wychodziła do miasta po różne sprawunki. W tych wycieczkach, najczęściej mijać musiała zbliska wielki gmach, sądowy, ale nigdy najmniejszej na niego nie zwracała uwagi. Był on tak wielki, a ona była tak mała! Rozległe wnętrze jego napełniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak, — jakim sposobem to się stało, trudno dociekać, — pewnego dnia weszła do jednej z sal tego gmachu gdzie wskazano jej zaraz miejsce, które miała zająć. Była niem ława oskarżonych.

Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca. Zdawało się jej wtedy, że wszystka krew zbiegła się do głowy, kipiała tam, szumiała, jęczała, paliła policzki i czoło, jak rozpalone żelazo. W oczach jej ludzie, ściany, sprzęty, mgliły się i mąciły tak, że dokoła siebie widziała jakąś pstrą, migotliwą masę. Gdy rozpoznała nakoniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wytężoną ciekawością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą ze wszelkiej odzieży, postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmąconej do głębi swej istocie miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, którzy w tej chwili patrzyli na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w czarnem skromnem ubraniu, drżącą, przelękłą, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór uroczysty. Uroczyste też wrażenie sprawiały kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napełniał szeregi ław, ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, na zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchemi rozmowami szumiący tłum. Woźny sądowy wymówił kilka głośnych, dobitnych słów, i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowi.

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz...

Słowa te przywróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego, odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znowu. Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladość. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Potem nastąpiły zeznania świadków.

Otyła i siwa Rożnowska w staroświeckiej mantyli, z płaskim czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, pokilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest uboga i sierota, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tem co złego, pewnoby nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy, ale życie przeszło jej w tem mieście i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieuczciwości namówiła. — Zachłysnęła się płaczem. jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... Ale dano jej znak, aby umilkła już i usiadła.

Przyjaciółka Rożnowskiej, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tem zgromadzeniu dostatniem ubraniem, przyciszonym głosem oświadczyła, że książki, które, jako dowód zbrodni, leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do pierwszej klasy gimnazjalnej przygotowała tak dobrze, że gdyby nie był jeszcze zbyt mały, przyjętoby go może i do drugiej. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że uczuła się

ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tem jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła, ale, słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o naukę jego dbać musi, a tu pod bokiem nauczycielka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota...

Tu złożyła ukłon pełny uszanowania, poczem z drgającemi lekko ustami i powiekami, obok Rożnowskiej usiadła.

Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można. Ta kobieta wysoka i chuda, z twarzą, wszerz i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej, krótkiej spodnicy i wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, tak była strwożona i rozżalona, że prócz kilku niewyraźnych, zaledwie dosłyszalnych słów, nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu, wypieczonych parą wrzątku i spieką żelazek do prasowania, łzy, jak groch, padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej jej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy: „Syn dwunastoletni... ojciec pija.... szynk w tym samym domu... nauka... dobra panienka...“.

Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz.

Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoją, dużo, prędko i tak głośno, że kilka razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłuszny. Ale ręką żylastą i silną targając mosiężny łańcuch zegarka, albo na głowie burząc gęstwinę włosów, wnet znowu w ferwor wpadał i głośniej, niż wypadało, dowodził, że gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. I cóż on takiego zrobił? albo i ta panienka: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania, rozstawił ręce takim ruchem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on za nic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak się z nim dzieje?

Po tym mularzu, zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku. Nakoniec i najdłużej ten, kto odkrył i doniósł do sądu, że na górnem piąterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tem, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło, — że cztery od dziesięciu — sześć, — że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam nie miło i t. d.

W chwilowej ciszy, która zapanowała gdy umilkł głos ostatniego świadka, wzrok Joanny powoli spłynął ku tłumowi, napełniającemu połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie i w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad który nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden tylko człowiek, który nie siedział, ale stał. Aby módz lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkiemi ławami, na jakiemś małem podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły. Oczy Joanny utkwiły w jego twarzy i napełniły się wyrazem przerażenia.

Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał, niż zwykle! Suche ramiona w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowo białe jego policzki wystąpiły czerwone plamy i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarte, co zresztą zdarzało mu się często, tylko że w tej chwili, ten charakterystyczny rys jego twarzy nie rzucał na nią wyrazu ani gapiowatości ani martwoty, lecz nieopisanego udręczenia. Z wytężoną uwagą słuchał krótkiego, ale energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator królewski i splątanej, strwożonym jakimś głosem wybąkanej obrony adwokata. Potem przewodniczący sądu zwrócił się do Joanny, oznajmiając jej, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, coby na swą obronę powiedzieć mogła i chciała?

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych, podniosła się znowu szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną, i tylko głos cichy, trochę drżący.

— Uczyłam dzieci, myślałam, że czynię dobrze... (Dok. nast.)

Eliza Orzeszkowa.

Do moich skrzypek. ••••••••••••••••••••

Moje cudne skrzypki małe,
Grajcie dni, tygodnie całe, —
Pieśń po strunach niech przelata
W długie czasy, w długie lata!

Niech piosenka, co z was leci,
Ukołysze płacz u dzieci,
Niech piosenka, co z was płynie,
Serce ukoi dziewczynie.

Niech piosenka, co z was bucha,
Młodzieńcowi wznosi ducha,
Niech nad siwą starca głową
Łuną wspomnień drży różową...

Moje cudne skrzypki małe,
Grajcie dni, tygodnie całe!
Niech piosenka iskrą cudu
W pierś smętnego wpadnie ludu,

Niech się drzwi otworzą chaty
Dla tej jasnej, dla skrzydlatej.
Słodycz, co się z piosnki leje,
W sercach niech budzi nadzieję,

Niech w słonecznem błyska złocie
Po nad żniwem, przy robocie.
Niech się snuje dźwięczna zwrotka
Z szybkiem tempem kołowrotka —

I niech nad czołem artysty
Pali się, jak płomyk czysty...
Moje skrzypki, skrzypki małe,
Grajcie dni, tygodnie całe, —

Pieśń po strunach niech przelata
W długie wieki, w długie lata!

Szczęsna.

I zadzwonił na Wawelu[1]...

....„I zadzwonił na Wawelu stary Zygmunt[2]) z wieży: niewstrzymany, rozmachany głos po kraju bieży. Rosa rosi, wiatr roznosi radość niepojętą, dzwon potężny, lud przysiężny, — w Polsce wielkie święto!“...

W Polsce — wielkie święto?... I jakież to?...

Ach, posłuchajmy, — posłuchajmy!

Ale wpierw musimy cofnąć się myślą ku czasom smutku i goryczy, aby wszystko dokładnie wyrozumieć.

Po dniach świetności sława Polski poczęła blednąć — potęga jej — chylić się do upadku. Czemu? — Bo w sercach ludzkich wygasły dawne cnoty męztwa, ofiary i miłości Ojczyzny.

Na tronie polskim, na tronie naszych Piastów, Jagielonów, Sobieskich, — zasiedli Niemcy, Sasi. Ojczymami — nie ojcami — byli oni dla narodu. O rządach, onych Sasów, o duchu, który panował wtedy w Polsce, daje pojęcie przechowane po dziś dzień przysłowie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa“.

A z hulaszczem życiem magnatów szła w parze nędza ludu. Oświata, którą naród polski słusznie chlubił się przed Europą w wieku szesnastym, zgasła. Miejsce jej zastąpiła barbarzyńska ciemnota, co wiedzie do upadku ludzi i narody.

Pomyślniejsza dola nie zabłysnęła dla Polski i wówczas, gdy po śmierci Sasów, ojca i syna, którzy po sobie panowali, — królem został obrany Polak, Stanisław August Poniatowski.

Jedyną zasługą Poniatowskiego było zajęcie się, dość żywe, sprawami oświaty. Ale jako człowiek słabej woli i strasznie lichego charakteru, nie mógł podźwignąć narodu z upadku. Owszem, pogrążył go w przepaść jeszcze głębszą.

Za jego to czasów źli sąsiedzi najechali bogatą, lecz źle strzeżoną zagrodę polską, aby się wzbogacić bezprawnym łupem.

Królik pruski zwłaszcza, Fryderyk, łaknął okrutnie żyznych naszych łanów, bo sam był nader ubogi: całe państewko pruskie składało się wówczas z sześciu rozrzuconych klinami kawałków, których ludność wynosiła zaledwie $3^1/_2$ miljony mieszkańców.

Owoż ten Fryderyk, słynny z przewrotności i okrucieństwa, porozumiał się na zgubę Polski z Katarzyną, rozwiązłych obyczajów carową moskiewską, która była też Niemką z pochodzenia. Potem ci dwoje wciągnęli do zmowy cesarzowę austrjacką, Marję Teresę, a skutek ich knowań był taki, że trzy mocarstwa; Prusy, Rosja, Austrja oderwały od Polski szmat ziemi ogromny, większy od całego królestwa pruskiego, bo wynoszący bez mała 4 miljony mil kwadratowych geograficznych.

Zabór ów ziem polskich miał miejsce w roku 1772 i nazywa się w historji pierwszym rozbiorem Polski.

Straszny to był cios, ale otworzył ludziom oczy. Zrozumieli, że trzeba się ratować, bo zagłada wisi nad całym narodem...

I odtąd wszystko zaczyna się zmieniać w ukochanej naszej ojczyźnie. Powstają szkoły, dola włościan polepsza się, gospodarstwo rolne dźwiga się z upadku,

---

[1]) Wawel wzgórze nad Wisłą w Krakowie, na którem wznosi się zamek królów polskich i kościół katedralny.

[2]) Zygmuntem nazywają największy na całą Polskę dzwon, który odzywa się sercem spiżowem tylko w uroczyste święta, — w ważnych dla narodu chwilach.

handel wzrasta, powstają fabryki, miasta zaludniają się i bogacą. Co zaś najważniejsza: mądrzy ludzie, jak Staszyc, Kołłątaj i inni, piszą książki, któremi rozpalają w wyziębionych sercach święty płomień miłości Ojczyzny i pouczają, jakie zmiany przeprowadzić należy, aby Polska rządziła się odtąd lepszemi, sprawiedliwszemi prawami.

Nareszcie w 1788 r. zebrał się w Warszawie oddawna tam niewidziany Sejm. Trwał on cztery lata i temu nazywa się Czteroletnim, albo też Wielkim — dla ważności uchwał, które na nim powzięto.

Sejm ów ogłosił, jak wiemy, sławną Konstytucję Trzeciego Maja, to jest zbiór praw państwowych, które miały uczynić Polskę rządną i sprawiedliwą.

Lecz zaledwie słońce pomyślności błysnęło nad nieszczęśliwą krainą, podniosły się zbrodnicze ręce zdrajców narodu, aby je zgasić.

W łonie magnaterji, czyli możnowładztwa, znaleźli się występni ludzie, którzy postanowili zniszczyć dzieło odrodzenia, obalić Konstytucję Trzeciego Maja, bo nowe prawa ukrócały ich samowolę, nie pozwalały, jak dawniej, trząść krajem dla osobistych, dla samolubnych widoków.

Owoż ci zdrajcy ojczyzny zawiązali niebawem w miasteczku Targowicy związek, czyli tak zwaną konfederację i zwrócili się z prośbą o pomoc w zbrodniczych zamiarach do carowej moskiewskiej, Katarzyny, największego wroga Polski.

Carowa, która z nienawiścią i obawą patrzyła na ojczyznę naszą, podnoszącą się z upadku, pospieszyła z całą gotowością spełnić prośbę konfederatów targowickich. Jakoż wkrótce potem, w maju 1792 r. wojsko moskiewskie wkroczyło do Polski, aby zgnieść wolność, a przywrócić dawny ucisk, bezrząd i samowolę magnatów.

Ale naród, zbudzony z letargu zorzą majową, inaczej teraz czuł, niż w czasach pierwszego rozbioru i postanowił bronić swych praw.

Wojsko nasze, choć młode, niedoświadczone, miało już ludzi mężnego serca, wielkiego ducha. Byli przecież w tem wojsku tacy sławni później na cały świat bohaterowie, jak twórcy legjonów: Dąbrowski i Kniaziewicz, — był Kościuszko, — wielki, cnotliwy Kościuszko!

Młode nasze zastępy spieszyły więc na odparcie wroga z dobrą otuchę w sercu i śmiałe stawiły mu czoło, zwłaszcza w bitwach pod Zieleńcami i pod Dubienką.

Ale cóż, wola ludu znowu została złamana, a szlachetne usiłowania zniweczone.

Stanisław August, król, — tchórzliwy, znikczemniały król, przystąpił, na rozkaz carowej, do haniebnej konfederacji targowickiej i kazał nagle złożyć broń wojsku, które liczyło wówczas koło sześćdziesięciu tysięcy głów i pałało szlachetnem pragnieniem walki w obronie ojczyzny.

Skutkiem tej zbrodni, popełnionej przez króla, był drugi rozbiór Polski, dokonany w 1793 r.

Prusy i Moskwa, nie zapraszając już teraz do podziału Austrji, zagarnęły sobie po raz drugi wielkie obszary naszej ziemi, wynoszące pięć tysięcy kilkaset mil kwadratowych z 17 tysiącami wiosek i prawie siedmiu setkami miast.

Skrawek ziemi, który pozostał po tym drugim rozbiorze z wielkiej ojczyzny naszej, musiał nadomiar hańby uznać nad sobą zwierzchnictwo Rosji. Król polski pozostał niby na tronie, ale był to król malowany, znaczył tyle, co komornik. Prawdziwym gospodarzem w Polsce był Igelsztrom, ambasador czyli pełnomocnik carowej Katarzyny. On rządził wszystkiem, on przy pomocy wojsk moskiewskich uciskał ludność polską, znęcał się nad nią....

A więc upadek był głęboki, — hańba zupełna. — niedolą bez miar i granic...

Miałaż Polska zniknąć z pośród narodów europejskich takim zgonem strasznym, bez blasku i sławy? — Miałaż poddać się wrogom bez oporu, bez walki, niby niewolnica nikczemna, co się czołga u stóp swojego pana?

O nie — i tysiąckroć razy nie!

Krew warem kipiała z oburzenia w żyłach synów, których ojcowie kładli niegdyś głowy swoje na polach bitew w obronie wolności i Ojczyzny, — krew warem kipiała, a w głowach rodziły się wysokie myśli, śmiałe plany.

Najmądrzejsi, najlepsi Polacy naradzali się potajemnie ze sobą, szukając sposobów ratowania ojczyzny.

O naradach zaś swoich i o wszystkiem wogóle, co się działo w Polsce, powiadamiali Kościuszkę, który, wygnany przez wrogów z ojczyzny, przebywał wówczas w obcych krajach. Aż gdy słonko obróciło się ku wiośnie, dali mu znać, aby wracał, bo już godzina stanowcza wybiła...

Kościuszko wezwania usłuchał i dnia 23. marca stanął w Krakowie. A nazajutrz ogłosił powstanie narodu polskiego, — powiedział swoim i obcym, że Polska, skazana na zagładę, żyje, — że wstaje do walki z mordercami, aby ofiarą i bohaterstwem zmazać hańbę bezkrwawych rozbiorów i odzyskać skarb najdroższy: cześć narodową!...

Nie dziw więc, że stary Zygmunt dzwonił radośnie na Wawelu, — nie dziw, że w Polsce było wielkie święto!...

Blaski narodowego święta opromieniły najpierw starodawną stolicę Polski, Kraków. Gwarno i radośnie było w tem mieście dnia 24. marca! Niezliczona ciżba zapełniła rynek krakowski od wczesnej godziny. Przed ratuszem stanęło wojsko w okazałej paradzie, — dalej mieszczanie, cechy rzemieślnicze, lud wiejski z najbliższych wiosek, szlachta, urzędnicy, a także młodzież, przystrojona w szarfy z napisami: „Wolność lub śmierć!“ — „Równość, Wolność!“ — „Za prawa i Ojczyznę!“ — „Niech żyje Kościuszko!“

„Było tam ludu wiele — mówi poeta, opisując tę chwilę — trąby grają, serca tają, straże w bębny biją; a pośrodkiem — z licem słodkiem, jak chłopek pośledni, Polak dzielny, wódz naczelny, za nim ludzie biedni!“

Ów „Polak dzielny“ to — Kościuszko!

Ku niemu zwracają się oczy, uśmiechają usta, — dla niego biją wszystkie serca w tym tłumie i w całym kraju, bo on pierwszy przyniósł Polsce wielką myśl, która stanie się jej zbawieniem: myśl równości i braterstwa wszystkich obywateli kraju!

Wtem cisza padła na wzruszony tłum. Milkną rozmowy, konają szepty. Ludzie oddech nawet tamują w piersi, aby lepiej słyszeć przysięgę, którą wojsko składa Kościuszce według roty następującej: „Ja (tu każdy wymienia swoje imię) przysięgam, że będę wierny Narodowi Polskiemu i posłuszny Tadeuszowi Kościuszce, Naczelnikowi Najwyższemu, wezwanemu od tegoż Narodu do bronienia wolności, swobód i niepodległości Ojczyzny. Tak mi, Boże, dopomóż i niewinna męko Syna Jego“.

A teraz tłum cały drgnął, zakołysał się, jako morze — i zamarł w oczekiwaniu, bo oto Kościuszko wysunął się naprzód, podniósł ku niebu rękę i temi słowy jął Polsce ślubować: „Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie dla obrony całości granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi, Panie Boże, dopomóż i niewinna męko Syna Jego!“

Słowa Naczelnika padały, niby iskry gorące, w serca słuchaczy. A gdy skończył, zerwały się okrzyki: „Niech żyje Polska!“ — „Niech żyje Kościuszko!“ — „Śmierć lub zwycięstwo!“

Naród płakał z radości, bo miłował swego Wodza, bo widział w nim nadzieję zbawienia, bo wierzył, że on go nie zdradzi.

Jakoż nie zawiódł się w swej miłości, nadziei, w swej wierze...

Kościuszko spełnił przysięgę, daną narodowi.

Spełnił ją na polach Racławickich, zwyciężając wroga przy pomocy ostrych kos chłopskich.

Spełnił, broniąc chlubnie przez wiele tygodni Warszawy od Moskali i Prusaków.

Spełnił najwymowniej najświęciej, gdy broniąc do ostatniej chwili swobód ojczystych, padł bez sił, bez czucia, bez pamięci na złowrogiem polu bitwy pod Maciejowicami, a krew, płynąca z szeroko otwartych ran jego poiła ziemię pod nowy posiew i wołała głosem wielkim, że kochał Ojczyznę nad życie — nad duszę własną, choć jej nie uratował — nie zbawił — zbawić nie mógł...

M. Wysłouchowa.

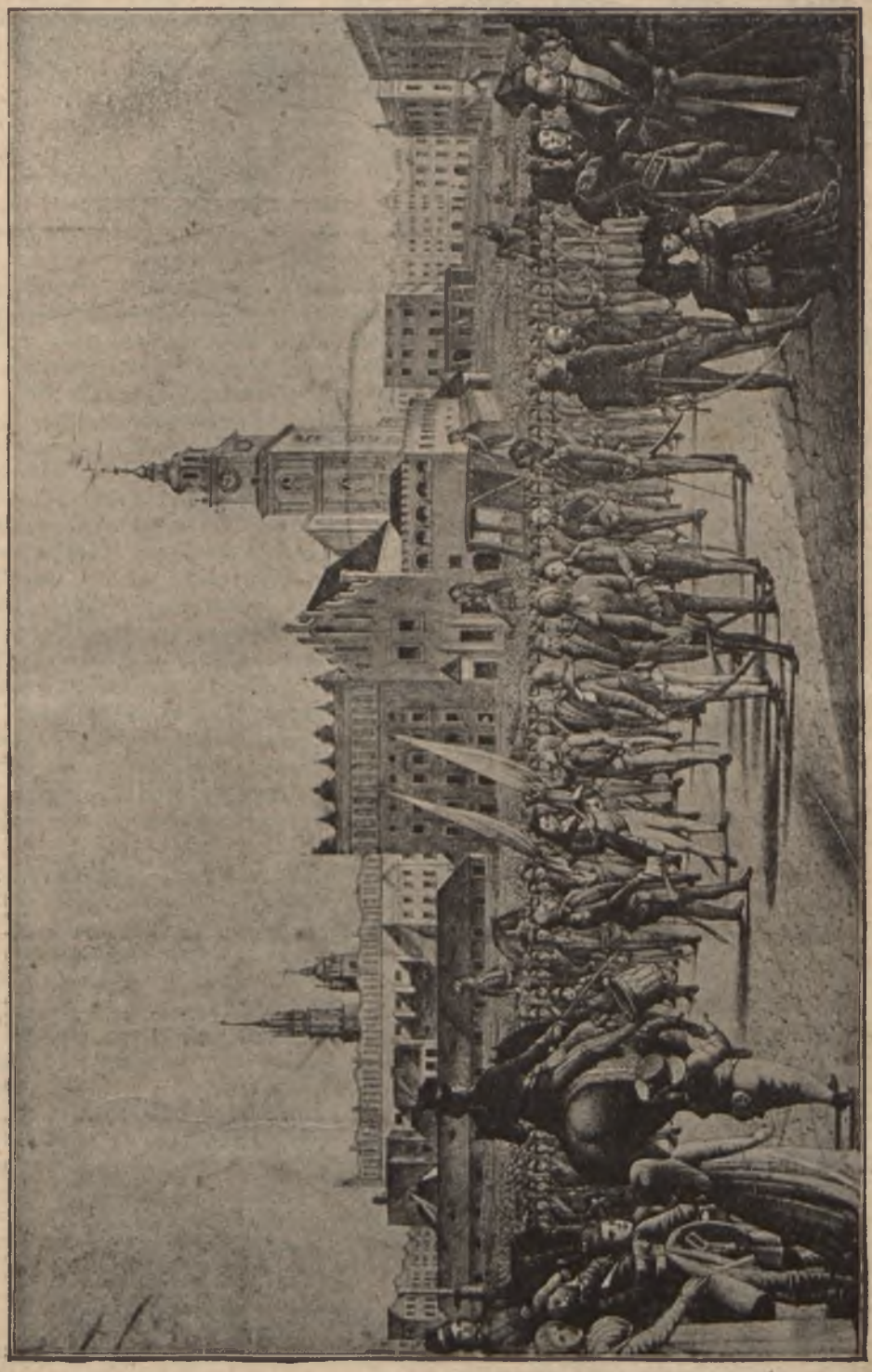

PRZYSIĘGA KOSCIUSZKI NA RYNKU w KRAKOWIE.

Listy do „Zorzy".

Wiedeń. W lutym 1901.

Nie jedna z czytelniczek, widząc, że piszę z Wiednia, powie: „Eh! co tam z takiego wielkiego niemieckiego miasta pisać do nas, kobiet na wsi!" — „Tam kobiety nic nie robią, stroją się tylko i spacerują, nie tak, jak my!"

Tak twierdząc, macie słuszność, ale nie zupełną.

Otóż przedewszystkiem w samym Wiedniu, jak to wykazał ostatni spis ludności, jest przeszło 20 tysięcy polskich robotników — (mężczyzn i kobiet) — nadto 10 tysięcy t. z. „inteligencji". — Widzicie więc, że w tem olbrzymiem niemieckiem mieście jest spore miasto polskie, bo z 30 tysięcy ludzi złożone. W jednej tylko dzielnicy mieszka znaczna ilość Polaków w pewnem skupieniu, zresztą porozrzucani po innych. Są tu także dwa polskie kościoły i szkoła.

Skąd jednak wzięło się tu tyle tysięcy kobiet Polek — służących i zarobnic?

Wszystkie one to siostry nasze z pod strzech! Wygnane biedą, szły do miast na służbę — potem jechały dalej za granicę, gdzie lepsza płaca w służbie, lepsze zarobki. I tyle się ich tu nagromadziło.

Ciekawe może będziecie, jak one tutaj żyją, pracują, weselą się? Pewnie, że nie mogą być tak blisko siebie i tak się zawsze widywać i gwarzyć, jak to bywa u nas na wsi — czy przy robocie w polu, czy, jak teraz, przy kądzieli, bo w takiem mieście to ze znajomym można się i cały rok nie spotkać.

Dlatego mamy tu kilka polskich stowarzyszeń, w których tak mężczyźni, jak i kobiety zgromadzają się bardzo licznie, zawsze w niedzielę wieczorem, na wspólne pogadanki i odczyty. I naprawdę, niema gorliwszych członków od naszych dziewcząt — tak pilnie słuchają wykładów, pożyczają i czytają książki itd. Ale to tylko w niedzielę — powtarzam.

Tu wprawdzie zapłaci „pani" służącej 10—15 zł. miesięcznie, ale też, zdaje mi się, że jakby mogła, toby nią i orała.*)

Wogóle ubogie kobiety, jak żony zarobników, praczki, bardzo ciężko pracują.

I wierzcie mi, że nie jedna z Was, nie zamieniłaby swojej doli na dolę takiej kobiety. Wam bo zawsze lepiej, choć często w biedzie, ale zawsze razem ze swoimi, i kącik swój i własną ciepłą strzechę macie. Zresztą, wiadoma to przecie rzecz, że na wsi, choć najuboższej, nikt nie da drugiemu z głodu zemrzeć, w mieście każdem przeciwnie. Co jednak najciekawsze i co najlepiej świadczy o naszych kobietach Polkach, że się bardzo trudno asymilują, t. z. bardzo trudno przyjmują tutejsze zwyczaje itd., a choć się i nauczy, po latach, języka, to o swojej mowie, „tej wyssanej", nigdy nie zapomina. Znam tu kobietę, która od 13 roku życia mieszka w Wiedniu, wychodziła dwa razy za mąż za Niemców, z Polakami nie miała nigdy wielkiej styczności, a przecie teraz jeszcze, po 40 latach pobytu tutaj, tak mówi, jakby dopiero co z pod Bochni przyjechała. Córkę posyła do polskiej szkoły.

Inna znów, przez 30 lat blisko tu żyje, oswoiła się ze wszystkiem, uważa się nawet za „Wiedeniaczkę". Pytałam się jej, czy wróci kiedy do swoich?

— Po co — powiada. — Teraz, ze starością, a bez zasobów, ktoby mnie tam przyjął!

Ale jak zacznie opowiadać i przypominać sobie, jak to ona pasła krowy na pastwisku — z rówieśnicami, jak razem w zimie przędły, jak czasem przy skrzypkach i potańcowały, — jak to u nich pięknie na wsi było — łzy płyną jej z oczu i przyznaje się, że strasznie by chciała jeszcze przed śmiercią zobaczyć choć swoją wieś — rodzinę.

I naprawdę, że smutna dola kobiety, której siły muszkułów i nerwów wyssał pieniądz, a dziś nie ma nawet tyle, aby wrócić do tego, w cudownych barwach wyrytego w duszy — kraju. Tak to i we świecie zdala od swoich...

Józefa Galicowa.

---

*) Dziewczęta nasze żalą się również, jako wiedeńskie panie wymagają od nich tak kosztownych strojów, że zaledwie im starczy pensji — dość znacznej — na modne suknie i kapelusze. [Przyp. Red.]

Czyny pouczające.

Oddawna mam zamiar podawać Wam w „Zorzy“, drodzy Przyjaciele, opisy czynów szlachetnych z naszej i obcej historji. A wiecie czemu? — Oto nic tak silnie nie oddziaływa na duszę ludzką, jak przykład. Słowa ześlizgują się nieraz po umyśle i pamięci, niby woda po głazie. Ale piękny przykład, ale czyn szlachetny wzrusza do głębi, zapala, budzi chęć naśladownictwa.

Mając przeto na uwadze zwłaszcza młodych kochanych czytelników gazetki, będę się starała umieszczać w każdym numerze — o ile miejsca starczy — wzniosłe przykłady miłosierdzia, męstwa, poświęcenia. A raduję się serdecznie, — że mogę rozpocząć od pięknych czynów, spełnionych we własnem naszem społeczeństwie i to w czasach obecnych. Możności dostarcza mi „Gazeta Polska“, wychodząca w Warszawie. Pismo to ogłosiło niedawno konkurs na cnotę i zwróciło się z prośbą do czytelników, aby donosili jej o znanych sobie czynach szlachetnych.

Skutkiem tej prośby nadesłano do redakcji sporo opisów. Powtórzę z nich parę, najgodniejszych — mojem zdaniem — uwagi.

Przykład pierwszy:

Załamał się lód i czternastoletni łyżwiarz, syn zamożnego obywatela, wpadł do rzeki. Widział to z mostu młody młynarz z tej wsi. Biegnie do miejsca wypadku i rzuca się w otwór, powstały w lodzie, aby ratować tonącego.

Drętwiejące od zimna nogi i ręce do tego stopnia odmawiają mu posłuszeństwa, że, kiedy natrafił na ciało młodzieńca, chwycić go mógł jedynie zębami za ubranie. Po tym nadludzkim niejako wysiłku przebił lód, wyszedł z wody i padł razem z ocalonym na brzegu rzeki wśród pustego pola.

Przy 7-mio stopniowym mrozie obaj omdleni niedługo prawdopodobnie czekaliby na śmierć. Ale przechodząca drogą kobieta dała znać do dworu o wypadku.

Po dłuższem leczeniu obaj młodzi powrócili do zdrowia.

Rodzice uratowanego chłopca, zdolni byli na razie, w uniesieniu wdzięczności, oddać jego zbawcy wiele z tego, co posiadali. Lecz kiedy pan X. zwrócił się do młynarza ze słowami: — „Żądaj od nas czego chcesz, a co tylko będziemy mogli, to uczynimy dla ciebie“, — młynarz milczał.

— Chcesz, kupimy ci młyn, będziesz na własnym chlebie? — pyta p. X.

Młynarz odmówił.

— Byłem właśnie po komunji św. — rzekł. — Kiedy zobaczyłem oddalającego się w głąb pola, ogarnął mnie niepokój. Czułem, że w tej chwili jest na mojej opiece. Spełniłem obowiązek.

Młynarz ów, poprzednio już odznaczył się poświęceniem w niesieniu pomocy bliźniemu, to też staraniem państwa X. został obdarzony medalem zasługi.

Od chwili wypadku niedomagał ciągle na zdrowiu: Doktor znalazł reumatyzm płuc z powodu silnego przeziębienia. Radził porzucić zajęcie nad wodą.

Ubolewali nad tem wszyscy, oprócz młynarza, który nigdy żadnem słowem nie poskarżył się, iż stracił zdrowie, ratując bliźniego.

Drugi przykład:

Pewna osoba, mając lat 8, straciła zupełnie słuch skutkiem choroby. Po tem nieszczęściu, sama nauczyła się czytać i pisać i wynalazła wyłącznie swój sposób rozmowy za pomocą pisma palcem. Miała lat 14, kiedy rodzina jej straciła ojca i cały dość znaczny majątek; wówczas stanęła na czele domu, składającego się z dwóch babek, dwóch sióstr i przygarniętego na wychowanie sieroty krewnego, 4-letniego chłopczyka.

Sama stworzyła sobie metodę krawiecką, bo wówczas nie było żadnych jeszcze szkół i otworzyła pierwszą niemal na prowincji pracownię. Znalazła uznanie i za cenę niesłychanej pracy i wysiłków utrzymywała przyzwoicie całą rodzinę; siostrze młodszej dała świetne wykształcenie, sierotę-wychowanka oddała do gimnazjum, a następnie na politechnikę.

Mimo kalectwa, trafiały się jej świetne materjalnie partje małżeńskie, odmawiała, powtarzając: „Jestem chlebem ich wszystkich, odbierać go im nie mogę“.

Przy pracowni swojej zawsze miała jedną lub dwie sieroty, które brała pod swój dach, dając chleb, naukę, odzienie, póki nie zdołały już same na siebie zapracowywać. 18-tu sierotom zapewniła w ten sposób byt uczciwy.

Obecnie jest sama jedna na świecie. Siostry zamąż wydane, rodzice i babki nie żyją; wszystkich swoich najbliższych, najdroższych, cały swój świat w grób złożyła. Ci, którym pomagała, zapomnieli o niej. Oszczędzony maleńki kapitalik straciła przez niesumienność ludzi, u których był ulokowany. Złamana moralnie stratami, spracowana fizycznie, mieszka w osadzie fabrycznej, cierpiąc nędzę. Gdy się jednak litowano, że po dawnej zamożności nic jej nie pozostało, odpowiedziała: „Pozostało mi jeszcze: Bądź wola twoja“.

A czyn jej? — To 36 lat życia, którego każda karta była miłością kraju, rodziny i wszelkiej niedoli, którą na swej drodze spotykała.

Rozmaitości.

Po za grób — słowa pamięci, hołdu i żalu. W połowie lutego zmarł we Lwowie Apolinary Stokowski, dobry Polak, przezacny obywatel. Był to mąż sędziwy — liczył lat 84, ale duszę miał młodą, gorącą, pełną zapału i wiary. Ta młodość duszy patrzyła mu z oczu, dobrych i pięknych, — co swieciły niby szafirowe habry, skąpane w rosie porannej, tworząc dziwnie miłą sprzeczność z białemi, jak kwiecie czeremchy, włosami.

Ś. p. Apolinary Stokowski nie wątpił nigdy, ani na chwilę w zmartwychwstanie Polski i w ostateczny tryumf dobra nad złem. Nie przestawał też nigdy pracować i poświęcać się dla wielkich celów, w których urzeczywistnienie wierzył. W ostatnich latach życia był gorliwym szerzycielem oświaty ludowej. Założył nawet towarzystwo pod nazwą „Towarzystwa Przyjaciół uczącej się młodzieży“, którego członkowie mieli obowiązek gromadzić fundusze na stypendja dla dzieci ubogich rzemieślników, wyrobników, stróżów, włościan.

W rocznice narodowe miał zwyczaj wydawać własnym kosztem portrety zasłużonych ojczyznie osób i rozpowszechniać je bezpłatnie wśród ludu miejskiego i wiejskiego. W rocznicę powstania listopadowego, naprzykład, wydał portrety bohaterskich Polek: znanej Wam Emilji Platerówney, a także Emilji Szczanieckiej, Klementyny Hofmanowej i innych. W setną rocznicę powstania Kościuszkowskiego wydał piękny portret Kościuszki w otoczeniu gałązek laurowych i kos, na sztorc nabitych. „Niech twarze patronów i patronek narodowych — mawiał — patrzą z ubogich ścian w serca obywateli od pługa i młota i niech rozpalają w nich miłość Ojczyzny“.

A jak wierzył, iż te właśnie pługi chłopskie wyorzą przyszłość Polski, — że ją wykują te młoty ciężkie! — Pamiętam, mówiliśmy kiedyś o ludzie wiejskim. W rozmowie tej przytoczyłam parę faktów idealnej uczciwości, z którymi spotkałam się w górach śląskich. Oczy ś. p. Stokowskiego zaszkliły się łzami radości. — „A co, czy nie mówiłem, że do chat schroniły się dawne cnoty Polaków i że tam odnajdziemy utraconą koronę Piastów!“ — zawołał, głęboko wzruszony,

Cicha praca wypełniała schyłek życia tego zacnego człowieka, ale młodość jego była burzliwa, świetna, męczeńska... Ś. p. Apolinary Stokowski brał czynny udział we wszystkich pracach i działaniach patrjotycznych, które miały na celu odbudowanie Polski, za co cierpiał potem przez długie lata, więziony w Szpilbergu. To też miał słuszność przedstawiciel młodzieży polskiej, p. Władysław Dunin-Wąsowicz, gdy w mowie pogrzebowej składał cześć jego pamięci temi słowy:

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

„Żeś w chwilach krwawych i dobach ucisku szedł pod sztandary powstańcze, żeś się nie wahał poświęcać życie Ojczyźnie drogiej, żeś cierpiał za nią w murach Szpielbergu... żeś życiem swojem znaczył ślady młodszym i był im gwiazdą przewodnią... dziś niesie Ci cześć i nieśmiertelną pamięć polska młodzież“.

— I jeszcze nad jedną mogiłą zatrzymać się nam należy...

Na Śląsku Górnym, w zakładzie leczniczym, zakończyła niedawno życie Ludwika Godlewska, utalentowana literatka polska. Okrutna choroba, suchoty, przecięła nić młodego życia wtedy, gdy talent ś. p. Ludwiki zaczynał najpiękniej rozwijać się i dojrzewać, a wdzięczne społeczeństwo otoczyło ją uznaniem i miłością.

Zmarła nie pisała nigdy o ludzie ani dla ludu. Chęć pracowania w tym kierunku zbudziła się w niej, szczera i gorąca, w ostatnich dopiero czasach. Spędzając pierwszą połowę roku zeszłego

we Lwowie, ciężko już chora, czytywała w „Zorzy“ listy i artykuły Wasze, drodzy Czytelnicy, ze wzruszeniem ogromnem. Od łez, — słodkich łez powstrzymać się poprostu nie mogła, widząc, jaką miłością dla ojczyzny pała lud pracujący po wioskach i miastach, jakie ma sprawiedliwe sądy o życiu, jak garnie się do oświaty.

„Skoro tylko wyzdrowieję — szeptała cichym, drgającym głosem — wnet napiszę powiastkę do „Zorzy“... Wiem już nawet o czem... Skoro tylko wyzdrowieję“...

Ale, niestety, nie wyzdrowiała...

Przedwczesny jej zgon tem boleśniejszym żalem ściska serce, że mogła była zrobić wiele dobrego i że sama silnie była przywiązana do życia, a porzucić je musiała właśnie w chwili, gdy to życie zaczynało ją darzyć pomyślnością, sławą, miłością ludzką...

Kiedy dom staje, śmierć przychodzi — jak powiada smutne przysłowie...

Niezwykły obchód. Miasto Radomyśl nad Sanem uczciło rocznicę powstania styczniowego w sposób bardzo piękny a niezwykły. Oto odegrano tam na polach bitwę, — zupełnie jakby prawdziwą bitwę, w której lud polski ostał zwycięzcą nad Moskalami.

Uroczystość rozpoczęła się pochodem od wzburzonej i wezbranej w dzień ów rzeki Sanu do miasta. Na czele szli ułani z taką dziarską miną, że — jak pisze przyjaciel Wojciech Wiącek z Machowa — „aż serce rosło, patrząc na nich“ — za ułanami sunęli kosynjerzy, strzelcy, strażacy, dalej muzyka i lud.

Cały ów tłum pogarnął się w stronę kościoła i zalał falą olbrzymią świątynię pańską, cmentarz, ulicę...

Żałobnie a wspaniale wyglądał kościół, jarzący się od świateł, z katafalkiem po środku. Na katafalku żołnierze i kosynjerze oparli broń. A gdy weszło sześć panien w żałobie, niosących rzeźbionego Orła, krepą osłoniętego i sześć innych z wieńcem cierniowym, — wtedy płacz się rozległ w tłumie.

Kazanie, wzniosłe i porywające, wygłosił ks. Sapecki, zacny kapłan, któremu należy się główna zasługa, że cała uroczystość wypadła tak wspaniale.

Po nabożeństwie znowu pochód, w którym wzięło udział całe miasto, na cmentarz. Tam, na świętych grobach poległych w powstaniu, muzyka żałośna i mowy też żałośne, lecz pełne wiary gości z zaborów pruskiego i moskiewskiego, a także włościanina z Machowa, Wojciecha Wiącka.

Potem odczyt w szkole o powstaniu pana Wojnara, a w końcu bitwa!..

Prowadzili ją podoficerowie wysłużeni i żołnierze, więc szło im gracko. Były i armaty, zrobione, jak prawdziwe, ciężkie, że para koni zaledwie je uciągnąć mogła.

Moskale, z których publiczność śmiała się „do pęku“, zajęli niby miasto. Lecz nasza wiara jak się nie puści na nich okrutnie, jak nie zacznie siec kosami, kłuć łańcami, — tak dotrzymać kroku nie mogli żadnym sposobem.

Bitwa trwała długo, ludzie po ziemi się nawet tarzali i mordowali z zaciętości, aże nasi zabrali wszystkie armaty i prawie wszystkich Moskali wzięli w niewolę. — gdzie niektóry chyba, dowcipniejszy, zdołał umknąć chyłkiem.,

Pamiętny dzień zakończyła „Bitwa pod Racławicami“, odegrana w teatrze. A potem przez całą noc, do rana, brzmiała na rozdąsanych falach Sanu pieśń: „Jeszcze nie zginęła!“

Spiewali ją goście, którzy przewozili się przez rzekę, przy świetle księżyca, wracając do swoich wiosek.

Jeszcze raz uwagę Waszą, drodzy Przyjaciele, zwracam na powiastkę „A... B... C...“, drukującą się w naszej gazetce. Sądzę, że Czytelnicy „Zorzy“ zrozumieją, o co tu chodzi, bo znają krzywdy swego narodu i wiedzą, że w ziemiach polskich, przez Prusaków i Moskali zabranych, niewolno nauczać, — a zwłaszcza niewolno nauczać po polsku. Szerzenie oświaty jest tam prześladowane, jakby jaka zbrodnia. Pamiętamy przecież wszyscy — i „Zorza“ pisała w tej sprawie dwukrotnie — o uwięzieniu w roku zeszłym p. Janiny Omańkowskiej w Poznaniu za to, że nauczała dzieci robotników w tem mieście.

Naprawdę, barbarzyństwo pruskie przypomina czasy niewolnictwa w Ameryce.

W okrutnych owych czasach ten, ktoby nauczył czarnego niewolnika, murzyna, czytać, był karany śmiercią. Bogaci a niemiłosierni samolubi, którzy handlowali ludźmi, niby bydłem roboczem, rozumieli, że oświata kruszy okowy skuteczniej, niż młoty druzgoczące, — że człowiek oświecony potrafi być wolnym! Starali się więc utrzymywać niewolników swoich w ciemnocie. Ale nadaremnie! Oświaty — podobnie jak słońca, — nikt nie zgasi. Przyszedł czas, że i murzyni uczuli w sobie duszę ludzką i upomnieli się o ludzkie prawa....

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Anna Górniakówna w Sibicy. To prawda, wielka prawda, że dom, do którego „Zorza“ idzie teraz w poczcie tak licznym, „znany mi jest z lat dawniejszych“, — dobrze znany! I wszystko, co tam widziałam, tak żywo zapisało się w pamięci, — wszystko: — od gniazdka jaskółki nad wiszącą lampą w pokoju jadalnym — do wspaniałego widoku z werandy na wieżę Piastową, na cały Cieszyn w wieńcu z gór, — od poleśników, ludowej potrawy śląskiej, któremi częstowała nas uprzejma gosposia, do szczerych, patrjotycznych piosenek Jana Kubisza, które gospodarz domu czytał nam podczas wieczerzy... W ostatnich zwłaszcza czasach myślałam często o ś. p. Ojcu Pani i żal ściskał mi serce, że on, co był tak gorliwym, tak ofiarnym pracownikiem Domu Polskiego w Cieszynie, nie doczekał dnia tryumfu, — nie doczekał uroczystości otwarcia...

P. Franciszek Myczkowski w Pikulicach. Nie można znaleźć dość słów pochwały dla tak wielkiej gorliwości w czytaniu i wzniosłej chęci wzbogacania umysłu pożytecznemi wiadomościami. „Zorzy“ jednak niepodobna wydawać częściej i w większej objętości. I o podniesieniu przedpłaty mowy być nie może. Gazetka pragnęłaby właśnie trafiać w pierwszym rzędzie do tych, co pracując ciężko, nie wiele mają. A taki grosz krwawy drogi jest, więc trzeba strasznie go oszczędzać. Za jednanie nowych czytelników proszę przyjąć wyrazy podziękowań.

P. Fr. R. w Brzeżanach. Wysokie dążenia, szlachetne zamiary — to rzecz, na szczęście, zwyczajna w wiośnie życia. „Święć się, święć się, wieku młody, śnie na kwiatach, śnie mój złoty, — ideale wiary, cnoty — i miłości i swobody!“ — woła poeta. Ale słowa listu Pani, a zwłaszcza nadesłane próbki literackie, pozwalają wnosić, że uczuć Jej nie wyziębią i lata późniejsze, a kwiaty zamiarów wiązać się będą na owoc czynu. O niech-że tak będzie!

P. Jan Juroszek w Izdebn[illegible]i. Do stu buczków, do stu dębów — jak powiada śląskie przysłowie. — Wasze pismeczko sprawiło mi radość tak wielką, jak Łysa góra, na której gazdował zbójnik Ondraszek. Bo ze wszystkich wiosek miłych — Izdebne to moja dziedzina najmilejsza. I nie myślcie, proszę, abych na wiatr jeno słowa rzucała. Jadąc w wysokie Tatry do Zakopanego, wzięłam nawet izdebniańskie szaty do truhliczki podróżnej, aby przyjść ku Wam nie jako obca... Ale cóż, potem tak się wszystko splątało, że nie można było uwidzieć ani Złotego gronia, na którym złote kłoski szumią, — ani Matyski, na którą nigdy nie przychodzi kryska...

Pozdrawiam pięknie wszystkich znajomych, co przychodzili na pogwarki niedzielne do Waszej izby, Panie Prezesie, — wszystkich: od największego górala, Franciszka Kobielusza, Jegra, szałaśnika — do malućkiej Juroszkuli, matki posła gminnego, — od starego przyjaciela, Michała Przygoniaka do Waszej dziewuszki, tej najmłodszej...

P. Teodor W. w Stanisławowie. Za życzliwe słowa proszę wziąść szczere podziękowania. Gazetkę wysyłamy zawsze w oznaczony dzień i rzecz dziwna, że egzemplarze, przeznaczone dla Pana, tak często giną.

P. Stanisław K. w Gdowie. Tej wielkiej, tej świętej sprawie, o której Pan wspomina, służą bardziej przyjaciele „Zorzy“, niż sama malutka gazetka. Bo i cóżby ona znaczyła bez poparcia ludzi dobrej woli? — Gryzłyby ją myszy w drukarni — i tyle!

P. Jan Sobek w Handzlówce. Za list dziękuję. Odpowiem w przyszłym numerze, bo w tym miejsca zabrakło. Do wyrażonych życzeń postaram się zastosować. Radośna to rzecz, że ludzie po wsiach tak wiele i chętnie teraz czytają.

Treść numeru: Dom polski w Cieszynie. — A... B... C... — Do moich skrzypek. — „I zadzwonił na Wawelu!)...“ — Listy do „Zorzy“. — Czyny pouczające. — Rozmaitości. — Odpowiedzi Redakcji.

Odpowiedzialna redaktorka: **Marja Wysłouchowa.** Z „Drukarni Udziałowej“ Lwów, Lindego 8.